

Teksty Drugie 1991, 1-2 , s. 96-108



# Wielki Spokój

Jan Zieliński

Jan Zieliński

## Wielki Spokój

Rozpieprzyć ten cały  
świat i przynajmniej  
byłby na zawsze spokój.  
(4.3.42)

— Andrzej Bobkowski? A któż to taki? Pisarz?  
To chyba jakaś pomyłka!

Jeszcze dziś tak odpowie przytłaczająca większość zapytanych. Nawet ci, co sporo czytają i orientują się we współczesnej literaturze. W dużej mierze zawinił tu na pewno fakt, że Bobkowski należy do pisarzy emigracyjnych. Kto zajrzy do dwóch obszernych (i zakłamanych) książek na temat tej literatury, utwierdzi się w mniemaniu, że Bobkowski to autor zgoła marginalny. Wprawdzie Zygmunt Lichniak w książce *Zanim powstanie panorama (Wobec literatury polskiej na emigracji)* (Warszawa 1983) poświęca mu nieco miejsca i chwali jego talent, ale nie wdaje się zupełnie w analizę pisarstwa Bobkowskiego i w rozdziale pod znamienym tytułem *Dramat obustronnych niezrozumień* zajmuje się głównie takimi zagadnieniami, jak antyrosyjskość autora *Szkiców piórkem*. Natomiast w książce Mariana Stępnia *Dalekie drogi literatury polskiej (Szkice o literaturze emigracyjnej)* (Kraków 1989) Bobkowski pojawia się tylko raz, nie tyle jako pisarz,

ile jako publicysta — zwolennik powziętej w październiku 1956 uchwały Walnego Zjazdu Pisarzy na Obczyźnie przeciwko współpracy literatów emigracyjnych z krajem.

Trzeba trochę poszperać, żeby dotrzeć do opinii odmiennych, wolnych od uprzedzeń. W roku 1980 w odpowiedzi na ankietę podziemnej jeszcze wówczas „Res Publici” (nr 7/8; „Jakie trzy książki wydane przez polskich autorów poza krajem były dla Pana szczególnie ważne?”), Jan Błoński wśród najważniejszych pisarzy emigracyjnych wymienił Bobkowskiego, wyznając: „nigdy nie mogłem zrozumieć, czemu go w Polsce nie wydano”.

W przedrukowanym w kraju dopiero niedawno eseju *Querido Bob* Józef Czapski pisał o Bobkowskim:

Pisarz dotyka w opowiadaniach swoich, w miłosnych, czujnych opisach natury, w nagłych opowieściach przerywających rozważaniach, wyznaniach, nie tylko świat i człowieka, ale jakby samą istotę tej ścieżki trudnej, po której do ostatniej chwili siedł. Co chwila dotyka dna [Czytajac, Kraków 1990, s. 395].

W tym samym czasie doczekał się krajowego przedruku esej Kazimierza Wierzyńskiego, w którym czytamy:

Był to talent pisarski o niezwykłych walorach. O słowie elektryzującym, o brawurze narracyjnej, niespotykanej bystrym widzeniu rzeczy, odwadze sądów. Pośród piór urodzonych na emigracji należał do najwspanialszych [Szkice i portrety literackie, Warszawa 1990, s. 195].

Podobne opinie można by mnożyć. Zachwycał się autorem *Szkiców piórkiem* Jerzy Stempowski i Jarosław Iwaszkiewicz, Tymon Terlecki i Wilhelm Mach, Józef Wittlin i Zbigniew Florczak, wreszcie Roman Zimand. Może zatem jest tak, że to pisarz dla wtajemniczonych, jak Malcolm Lowry, autor *Pod wulkanem*? Że to potrawa dla wytrawnych smakoszy, literatura wyrafinowana, może nawet dziwaczna?

Nic podobnego. Już sam rozrzut przywołanych nazwisk wskazuje, że pisanie Bobkowskiego trafia do ludzi rozmaitej formacji i wrażliwości. Powiadam „pisanie”, a nie „twórczość” czy „literatura”, bo to, co w spuściźnie po Andrzeju Bobkowskim najcenniejsze, mieści się na pograniczu literatury i życia. Bobkowski przymierzał się do powieści, ale jej nie napisał. Pozostawił jedną sztukę i garść opowiadań bądź szkiców. Ale miejsce w historii literatury polskiej — tej uczciwej, która czeka jeszcze na napisanie — ma zagwarantowane dzięki swym dziennikom i swej korespondencji.

Korespondencja, drukowana w małych dawkach po czasopismach, czeka jeszcze na wydanie książkowe. Zdumiewa rozmachem i pasją, rozległością zainteresowań i ostrością formułowanych sądów. Niektóre listy, kierowane do zaprzyjaźnionych pisarzy i wydawców, są właściwie gotowymi esejami. Inne, pisane do bliskich, czyta się jak pasjonującą powieść w odcinkach, której bohaterem jest niesforny i niepokorny Andrzej Bobkowski. Zapobiegliwość rodziny sprawiła, że zachowały się setki listów, od tych pierwszych, jeszcze nieporadnych, ale już oryginalnych, pisanych z wakacji do rodziców, po ostatnie, pisane z drugiego kontynentu przez człowieka umierającego na raka, który jest w pełni świadom swego stanu i który z surową dokładnością obserwuje paradoksy tego świata.

Na razie czytelnik krajowy otrzymuje dziennik Andrzeja Bobkowskiego — jego zapiski, prowadzone we Francji w okresie od 20 maja 1940 do 25 sierpnia 1944 roku. Dobór dat zgoła nieprzypadkowy: od kapitulacji do wyzwolenia Paryża. Bobkowski stał się kronikarzem upadku kraju, w kulcie którego, jak w tylu polskich domach inteligenckich, wychowywano go od dziecka. I właśnie z powodu tego kultu, tej miłości do *la douce France* — słodkiej Francji — jest jego książka tak gorąca, tak namiętna. Zawiedziona miłość oczyszcza wzrok: Andrzej Bobkowski daje nam bogaty katalog wad narodowych Francuzów, jakie ze szczególną ostrością ujawniły się w czasie wojny i okupacji. Tchórzostwo, wygodnictwo, ksenofobia, narodowa arogancja, skłonność do kolaboracji — to tylko niektóre pozycje tego katalogu. Ostrość spojrzenia budzi żal, że w okupowanej Polsce nie mieliśmy drugiego takiego Bobkowskiego, który by pozostawił równie bezlitosny i równie przy tym sprawiedliwy obraz naszego społeczeństwa w okresie próby.

*Szkice piórkem* są hymnem ku czci wolności jednostki. W chwili upadku Paryża Andrzej Bobkowski ma dwadzieścia sześć lat i szczególny dar właściwy wielkim pisarzom realistycznym: dar widzenia i rozumienia. Rozkaz opuszczenia Paryża stał się dla niego pretekstem do zakosztowania prawdziwej wolności. Zostawiwszy w stolicy Francji młodą, przed dwoma laty poślubioną żonę, Bobkowski rusza na rowerze w podróż po południowej Francji. Oficjalnie spełnia polecenie swoich przełożonych, najpierw nadzorując wyjazd pozostających pod jego opieką robotników, a potem wracając do Paryża. Tyle, że wraca drogą okrężną, przez Lazurowe Wybrzeże. I wśród doniesień o kolejnych

sukcesach armii niemieckiej zdobywa się na rzecz nieoczekiwaną: jest szczęśliwy.

To chyba jedna z najważniejszych cech, jakie sprawiają, że *Szkice piórkiem* są książką tak fascynującą. Ostatnie zwłaszcza lata przyzwyczyły nas do dzienników pisarzy, które są utrzymane w tonacji minorowej, pełne biadoleń i żalonych autoanaliz. Bobkowski, pisarz urodzony, a nie zawodowy literat, też nieraz daje upust swojej złości, nawet nienawiści. Ale jak ognia wystrzega się biadolenia. A nade wszystko nie wstydzi się okazywać i opisywać uczuć pozytywnych, stanów zachwytu i upojenia.

I tak, 18 czerwca 1940 Andrzej Bobkowski pisze:

Leżałem na kierownicy i brałem ostre wiraże, pokładając się z całym rowerem. Było coś upajającego w tej jeździe. W pewnej chwili najwyraźniej poczułem, że wszystko przestało mnie obchodzić. Teraz, kiedy to piszę, czuję, że pękło coś we mnie. Może nastąpiło zerwanie z przeszłością. Nareszcie. Jestem wolny w tym zamieszaniu. Może nawet zerwałem z samym sobą. Wspaniale. Rozpiera mnie.

Czytając ten fragment wyrwany z kontekstu można by się zastanawiać, czy to nie nadmierna egzaltacja — z fizycznego upojenia, wywołanego szybką jazdą na rowerze, wnioskować o radykalnej przemianie w całym dotychczasowym życiu. Książka potwierdza jednak, że taka przemiana rzeczywiście się wówczas w Bobkowskim dokonała. I chwala autorowi za to, że nie próbował dla niej szukać jakichś uzasadnień ideologicznych, tylko otwarcie pokazał sam moment wyzwolenia i jego zewnętrzne, rowerowe w tym wypadku, okoliczności.

Rowerowa podróż Bobkowskiego po południowej Francji ma w sobie coś unikalnego. Od zwykłej wakacyjnej przygody różni ją chociażby zawieszenie czasu. Na urlopie — powiada Bobkowski — nawet najszcześniejsze chwile zatruwa myśl o tym, co czeka nas po powrocie. Tu natomiast przyszłość jest wielką niewiadomą i w związku z tym nie warto nią sobie zaprzętać głowy.

Najważniejsze jest t e r a z i trzeba się nie bać wysać to t e r a z do końca, potem odrzucić i zastanowić się, jakby następne t e r a z najlepiej wykorzystać.

I Bobkowski wysysa cały smak każdej chwili. Jego książka jest bardzo zmysłowa: nie w sensie czystej erotyki (choć i tej nie brakuje), ale w sensie wchłaniania świata wszystkimi zmysłami.

Przed wszystkim wzrokiem. „Jestem cały wzrokiem” — powiada Bobkowski i realizuje ten manifest.

Słońce było wprost gęste i wyciekało z nieba powoli ciężko, jak morelowa konfitura z puszki.

Godziny między zachodem a zapadnięciem zmroku są godzinami bez kolorów: na co spojrzysz, wszystko ma ten sam odcień popielato-biały, mglisty jak spłowiła akwarela.

Ale także słuchem.

Czasem w salonie siedzi Robert i pisze listy. Chowam się za pianinem i słucham skrzypu pióra po papierze. W zupełnej ciszy wokoło, dźwięk ten ma w sobie coś zupełnie nieziemsko uspokajającego. Słuchać jak ktoś pisze — to śmieszne.

Tymczasem z drugiej strony bawiono się z przytupem. Szelest i tupot bosych stóp. Drobne kroki nimfy i długie skoki fauna. Śmiech, perlisty i dźwięczny. Dźwięk szkła i pyknięcie otwieranej butelki szampana. Wyjmowana z wiaderka, butelka lubieżnie ociera się o kawałki lodu.

Ale także dotykaniem.

Te stare, grube jedwabie są wprost miękkie i soczyste, jak grube liście. Ukradkiem zbliżałem się do nich i brałem je w rękę, rozkoszując się dotykaniem tych resztek dawnej świetności.

Słońce zapadło za domami i czuć je jedynie w wąskich uliczkach, grzeje jeszcze poprzez spopielale w żarze dnia kamienie, bucha gorącym od ścian domów.

Ale także węchem.

Zanotować w notesie: zapach gorącej czekolady w słonecznym pokoju o 9-ej rano, otwarte okna, z których wpada ten specjalny chłód, jaki jest tylko przed upałem.

Pode mną trzeszczą suche, zeszlóroczne liście i z ziemi paruje zapach zimy. Nie wiem dlaczego, ale ten zapach suchych liści i wilgotnej ziemi działa na mnie podobnie, jak mgła: budzi wspomnienia dzieciństwa: wspomnienia lasów koło Lidy i Nowogródka, kontury zamku Gedymina, obraz wilka napotkanego w czasie jednej z przejażdżek konnych z ojcem.

Wreszcie smakiem.

Zlizywałem z warg słoną wodę i miałem ochotę na coś słodkiego.

Tu zresztą Bobkowski mniej był zdaje się wrażliwy. Raczej rejestruje ilości spożywanych potraw albo — wzrokowic — z zachwytem przygląda się obżarstwu innych. Albo może inaczej: piękno krajobrazu zlewa mu się z wrażeniami smakowymi w jeden węzeł.

<http://rcin.org.pl>

Tutaj piękno jest: jest na talerzu, jest tak uchwytnie, że jem jajka, szpinak, księżyc, morze, sałatkę z pomidorów, fasolę i oblizuje się.

Piękno u Bobkowskiego nie potrzebuje uzasadnień ani nadbudowy ideologicznej.

Skowronki? Tu się je strzela i zjada pieczone. Nic innego nie przychodzi mi na myśl przy skowronku. Żadne jakieś „boży kmięć”, żadne tiu, tiu, a frr, a frr.

Mamy zatem w *Szkicach piórkiem* do czynienia z prozą zmyslową, jędrną. Bobkowski nie unika pewnej rubaszności, ale pod nią kryje się spontaniczna wrażliwość wielkiego chłopca. Właśnie: w roku 1948 Bobkowsky porzuca Europę i wyemigrują dalej, do Gwatemali. Tam autor *Szkiców piórkiem* będzie utrzymywał siebie i żonę z wyrobu modeli latających własnej konstrukcji, założy też klub modelarski dla chłopców. Już w dzienniku z lat wojny znaleźć można wiele zapowiedzi obranej po wojnie drogi życiowej, zapowiedzi, które pozwalają interpretować wyjazd do egzotycznej Gwatemali i osobliwy wybór pracy jako realizację chłopięcych marzeń o przygodzie i snów o lataniu. I tak na przykład na widok grup czarnoskórych żołnierzy Bobkowski notuje:

Za trzy tygodnie będą na Madagaskarze. Chętnie pojechałbym z nimi. Już po dwudziestu sześciu latach, w tak młodym wieku Europa wylazi człowiekowi bokiem i gardłem. Kolebka kultury...

W innym miejscu pisze:

Zaczynam zbierać pieniądze na wyjazd z Europy. Beznadziejny Klaj.

Kiedy indziej rzuca projekt, by utworzyć „rezerwy wolności” — tak rzadki stał się człowiek, któremu wolność jest naprawdę droga i niezbędną do życia.

Wystrzeluje się go bez żadnych ograniczeń przy pomocy coraz to doskonalszej broni lub zamyka w nowoczesnych rezerwach i parkach narodowych zwanych obozami koncentracyjnymi. Tępi się go na każdym kroku — w i m i ę w o l n o ś c i.

Takim rezerwatem wolności stała się dla Bobkowskiego po wojnie Gwatemala. Już w okresie paryskim pojawiają się też wzmianki o pierwszych próbach modelarskich.

Mówiąc o wrażliwości Bobkowskiego nie sposób pominąć jednego jeszcze czynnika. Otóż w pierwszej zwłaszcza części jego książki, w notatkach z podróży rowerowej po południowej Francji, raz po raz pojawiają się apostrofy w rodzaju:

Czy znasz nastroj i życie w południowych miasteczkach Francji? Zawsze o Tobie myślę i tak mi żal, że nie jesteśmy razem. Mielibyśmy tyle tematów do rozmowy i tyle okazji do przeżywania tego, co innym wymyka się, przecieka między palcami i wydaje się nudną monotonią.

Do kogo skierowane są te apostrofy? W pierwszej chwili nasuwa się przypuszczenie, że może do czytelnika, dla nawiązania z nim bliższego kontaktu. Potem jednak odwołania do wspólnych przeżyć ukonkretniają adresata. *Szkice piórkem* są wielkim, kilkusetstronicowym listem miłosnym do Barbary Bobkowskiej.

Hymn ku czci wolności, proza zmysłowa, opis przygody, wielki list miłosny... Czym jeszcze jest ten dziennik młodego ekonomisty w latach wojny na obczyźnie pisany?

*Szkice piórkem* są książką zdecydowanie antykomunistyczną i antysowiecką. To zresztą, nawiasem mówiąc, jedna z przyczyn, dla których dopiero dziś mogą się w Polsce oficjalnie ukazać. Stosunek Bobkowskiego do Związku Radzieckiego znalazł najbardziej może dobitny wyraz w zapisie z 27 lipca 1941:

Mówią coś o układzie polsko-sowieckim. Wszystko możliwe. Kobra z królikiem też może zawierać układy, choć w wyniku końcowym prowadzą one tylko do jednego: do połknięcia królika przez kobrę. Po dokładnym i pieczołliwym obślinieniu, żeby gładziej poszło.

Ale już wcześniej, w latach trzydziestych, wietrzył Bobkowski niebezpieczeństwo płynące ze Wschodu. Pracując wraz z dużą grupą Polaków we francuskiej fabryce amunicji stykał się z przypadkami dywersji i sabotażu ze strony skomunizowanych robotników francuskich. Po wybuchu wojny uważnie obserwował to, co czynią Niemcy i nieraz porównywał metody nazistowskie do stalinowskich. W czasie zorganizowanego pod naciskiem Hitlera procesu francuskich generałów w Riom wyrywa mu się komentarz: „Wyszło z tego zupełnie co innego, niż miało wyjść. Trudno — nie studiowali w Moskwie.” Innym razem, przytaczając świetny dowcip antyhitlerowski o dwóch kloszardach, dochodzi do wniosku, że równie dobrze dałby się on zastosować do rzeczywistości komunistycznej. Rosja Radziecka jest dla Bobkowskiego groźną niewiadomą, która może jeszcze zaskoczy świat w nowej, powojennej sytuacji, ale z góry można mieć pewność, że nie będzie to miła niespodzianka.

Charakterystyczna jest tu reakcja autora *Szkiców piórkem* na wieść o odkryciu grobów katyńskich.



Nie ma we mnie żadnego uczucia niespodzianki — wprost przeciwnie — poczucie, że to jest właściwie normalne, że jest w tym konsekwencja, rozwijająca się wolno jak nitka z tego samego kłębka już od wielu miesięcy.

I dalej, jeszcze dobitniej:

Jest to unicestwienie części polskiej inteligencji, o której Rosja wie, że nigdy nie zechce ona pogodzić się z programem komunistycznym. Katyń, to po prostu wykonanie jednego z punktów programu, który przygotowany jest dla Polski.

Trzeba zresztą — żeby nie było nieporozumień — podkreślić, że zbrodnia katyńska w niczym nie przesłaniała Bobkowskiemu ogromu zbrodni hitlerowskich, o których wiedział nie tylko z radia londyńskiego, ale i z listów oraz ustnych przekazów, jakie docierały do niego od pozostającej w okupowanym kraju rodziny. Dostrzegał nawet element ponurej groteski w tym, że „hurtownik denuncjuje detalistę i że obydwoj są z tej samej branży rzeźniczej”.

*Szkice piórkiem* są też książką antynacjonalistyczną, jedną może z najsilniejszych pod tym względem we współczesnej polskiej literaturze. Bobkowski pisał:

Bardzo być może, że nacjonalizmu nie znoszę jeszcze bardziej niż komunizmu i gdybym był bardzo bogaty, to ufundowałbym na jakimś naszym uniwersytecie katedrę kosmopolityzmu i przytomności.

I znów trzeba poczynić pewne rozróżnienia. Bobkowski uważnie obserwował zachowanie się swoich rodaków na emigracji i umiał docenić ich zaradność, pomysłowość, pracowitość. Ale równocześnie do pasji doprowadzały go nasze wady narodowe, a przede wszystkim polonocentryzm.

Ta biedna Polska to jak wspaniały obraz powleczony nieskończoną ilością warstw farby przy ciągłym „odnawianiu”, farby o przedziwnym składzie chemicznym, gdzie Matka Boska miesza się z bigosem i barszczem z uszkami, Mickiewiczem i grą w bridge'a (narodowa rozrywka polska), katolicyzmem i Towiańskim, przedmurzem i bizantyjskim anarchizmem (to całkiem specjalna cecha polska, wyrażająca się w skrócie: uwielbiam cię, ty sk...) i absolutnym obowiązkiem umierania za ojczyznę nie tylko gdy potrzeba, ale przede wszystkim gdy nie potrzeba.

Podobne wyliczenia naszych przywar znaleźć można u wielu pisarzy, zwłaszcza emigracyjnych (przede wszystkim u Gombrowicza, u Miłosza, u Pankowskiego), mam jednak wrażenie, że ingrediencje dobrane przez Bobkowskiego składają się na najbarwniejszą, najbardziej piorunującą mieszankę wybuchową. Dodajmy, że ostatni jej składnik — obo-

wiązek bezpotrzebnej śmierci za ojczyznę — to temat, który wręcz obsesyjnie powraca na kartach dziennika. Bobkowski wyznaje, że nienawidzi wojny. Sam był synem generała, ale anegdota, jaką opowiada o ojcu, dobrze przystaje do poglądów syna. W czasie wojny polsko-sowieckiej bolszewicy otoczyli Henryka Bobkowskiego, dowódcę sztabu 11-ej dywizji piechoty, wraz z całym jego sztabem i pewnym generałem. Generał rozpoczął odprawę słowami: „Panowie, musimy teraz umrzeć...”. Na co ojciec Bobkowskiego miał odpowiedzieć: „jakkolwiek wydostanie się z tej sytuacji, proponowane przez pana generała, jest najprostsze, to warto byłoby przedtem spróbować jakiegoś bardziej skomplikowanego środka ocalenia”. Bobkowski-syn staje wprawdzie przed polską komisją wojskową, ale — nie przyjęty — czuje się zwolniony z psychicznego obowiązku wymknięcia się do Anglii w celu walki z Niemcami. Rusza w prywatną podróż rowerem; z tym samym impetem, z jakim inni stawiają czoła śmierci, on rzuca się na życie.

I znów gwoli sprawiedliwości trzeba powiedzieć, że dzięki swej prawości, odwadze cywilnej oraz doskonałej znajomości francuskiego i niemieckiego Bobkowski staje się nieoficjalnym ambasadorem Polski w Paryżu, opiekunem przebywających tam rodaków. Rzadko pisze o tym otwarcie, co zrozumiałe — dziennik mógł wpaść w ręce gestapo; zbierając jednak rozsiane po całym tekście wzmianki i konfrontując je ze wspomnieniami świadków (zwłaszcza innego prozaika emigracyjnego, Andrzeja Chciuka), możemy pod maską programowego cywila dostrzec inne — wręcz heroiczne — oblicze. U Bobkowskiego nic nie dzieje się po prostu. Wystarczy zresztą przeczytać jedną, dowolnie wybraną stronicę jego dziennika, żeby się o tym przekonać.

Andrzej Bobkowski był z wykształcenia ekonomistą, przedtem miał trudności ze zdaniem matury. Aż trudno w to uwierzyć, czytając w *Szkicach piórkiem* jego uwagi na temat literatury i odkrywając całą olbrzymią erudycję Bobkowskiego, tak naturalnie wtopioną w jego styl. Niektóre z tych odwołań, co zrozumiałe u młodego autora o silnie rozwiniętych cechach chłopięcych, dotyczą lektur dzieciństwa i okresu dojrzewania. Stale obecny jest na kartach tej książki Sienkiewicz, nie tylko jako autor *Trylogii* i *W pustyni i w puszczy*, ale także — *Listów z podróży*. Stale obecny jest Prus jako autor *Lalki* — co zrozumiałe, zważywszy krytyczny stosunek Bobkowskiego do typowo polskiej mentalności. („Trzy tomy *Lalki*. Wielka trylogia, większa od tej Sienkiewicza. Trudno o lepszą książkę, o lepsze wydobyście wszystkich

pechowych cech charakteru polskiego. Tak niewiele zmieniło się to nasze społeczeństwo od tamtych czasów.”) Snując prognozy co do dalszego biegu wypadków i rozwijając paralelę z przebiegiem kampanii napoleońskiej Bobkowski świadomie utożsamia się z Rzeckim.

Ulubionym pisarzem Bobkowskiego był Balzac. Ciekawe zresztą, że autor *Szkiców piórkiem* zarzucał Francuzom, iż ceniąc swego wielkiego realistę, wcale go do końca nie rozumieją, iż cenią go za to, co powiedział, a pomijają najcenniejsze — to, „czego nie powiedział, a co tak wspaniale wyczuwa się”. Myślę, że ta uwaga dobrze przystaje do pisarstwa samego Bobkowskiego — niewątpliwie realistycznego, ale silnie nasyconego pierwiastkiem psychicznym i mikropsychofizycznym, pełnego niedomówień, aktów porozumienia z czytelnikiem, ironii i luzu. Innym patronem pisarstwa Bobkowskiego jest Flaubert — autor *Szkoły uczuć*, bezlitosny obserwator francuskiego zakłamania w *Pani Bovary*, wreszcie kronikarz ludzkiej głupoty w *Bouvard i Pecuchet* („Jaka szkoda, że Flaubert umarł, zanim zdążył ułożyć ten słownik kretynizmów.”) Pisząc o Flaubercie, Bobkowski używa określenia „spizowy dzwon prozy”, w innym miejscu zanosí modły do „świętego Flauberta”. Balzac i Flaubert są dla niego odtrutką na otaczające zakłamania w imię tej czy innej ideologii.

Inne przywoływane przez Bobkowskiego nazwiska to typowe lektury polskiej inteligencji lat trzydziestych: Wilde, Céline, Schnitzler, Spengler, Mereżkowski (w grudniu 1941 odnotował jego śmierć, wyznając przy okazji: „Matka niemal karmiła mnie jego książkami, a *Leonardo da Vinci* był pierwszą biografią, jaką przeczytałem.”). W trakcie podróży rowerowej Bobkowski pielgrzymuje do Bandol, gdzie mieszkała jego ulubiona „Kaśka” Mansfield. Po zdobyciu wysoko położonej przełęczy oznajmia, że właśnie zrozumiał Sotiona z *Dysku olimpijskiego* Parandowskiego. Literatura i sztuka są tu cały czas obecne — nie jako nazwiska, wzmiankowane dla popisania się erudycją, ale sceny i obrazy, niegdyś dogłębnie zapamiętane, a teraz przywoływane w konfrontacji z aktualnym życiem, z jego przygodami, z oglądanymi krajobrazami. Spośród wielu różnych rodzajów kultury ten najharmonijniej bodaj łączy w sobie głębokość przeżycia — z bieżącym życiem.

Szukając tytułu dla książkowego wydania swoich zapisków z lat wojny Bobkowski rozważał m. in. sformułowanie „Wojna i Spokój” (przez duże S). W pewnym sensie można powiedzieć, że rozumiał swój dziennik jako cywilną odpowiedź na powieść Tołstoja (której zresztą nie mógł

zmóc). Zwraca też uwagę ogromne znaczenie, jakie miała dla Bobkowskiego kategoria spokoju. Termin ten pojawia się na kartach dziennika wielokrotnie w znaczących kontekstach, począwszy od buntowniczego zdania, które wybrałem na motto niniejszego artykułu. Oto kilka innych przykładów. 2 lipca 1940 w piękną, gorącą noc, w poczuciu pełnej harmonii z naturą, które każe mu myśleć o starożytnej Grecji, Bobkowski pisze: „Wokoło terczały świerszcze, ślizgały się nietoperze. Wielki spokój”. Obserwując roznamiętnionych graczy w kasynie w Monte Carlo nasz autor konstatuje:

Nie rozumiem, jak można poniżyć się do tego stopnia, by uzależnić cały swój spokój wewnętrzny, ład i harmonię, wszystko — od trzydziestu sześciu numerów i kulki.

8 stycznia 1942, podsumowując wrażenia jednodniowej wizyty w miasteczku Senlis (cały ten opis stanowi zresztą zamkniętą całość, jakby nowelkę wplecioną w tekst dziennika), Bobkowski powiada:

Cały dzień, wszystkie jego wydarzenia, pokryte były s p o k o j e m, regularną monotonią i tym „s o b i e” życia małego miasteczka francuskiego.

2 sierpnia 1943, będąc na urlopie w L'Étre Clément, notuje:

Cichy placyk, na ulicach pusto, niebo pokryte szarymi chmurami. S p o k ó j. Wydaje się, że poza tym miastem nie ma świata.

I wielkim fabrykom oraz potężnym bombowcom przeciwstawia „ciasne uliczki z rynsztokami, niewygodne domki i stare meble”. Wielbiciel prozy dziewiętnastowiecznej w sennej atmosferze prowincji odkrywa dla siebie spokój jako wartość:

Wartość zupełnie nieocenioną, zapomnianą i pogardzaną Spokoju i Ładu, może zacofanego, ale jakże wzbogacającego, czuje się tu, w ciche popołudnie. Pijąc białe wino, wskakuję cały do kieliszka i rozpuszczam się. Jestem Spokojem.

Stanem pokrewnym spokojowi jest równowaga. W obszernym wywodzie, w którym, posługując się takimi pojęciami matematycznymi jak granica i stałość, Bobkowski stara się określić istotę charakteru francuskiego, równowaga staje się słowem-kluczem, „wielką sumą” (też pojęcie matematyczne) tego wzoru.

Francja jest krajem, może jedynym w obecnym świecie, który osiągnął równowagę i potrafił ją utrzymać pomimo wszystkich ataków, przypuszczanych na nią z zewnątrz. Do diabła — Francja w tej chwili, w pełni okupacji, utrzymuje równowagę. Cała jej literatura i myśl, całe jej pojęcie człowieka jako takiego, cała jej kultura wreszcie, wypływa w prostej linii z równowagi.

O roli, jaką w światopoglądzie (i życiu) Bobkowskiego odgrywała potrzeba spokoju i równowagi najlepiej świadczy dalszy ciąg analizy ówczesnej Francji i jej miejsca w duchowym porządku świata. Charles Péguy powiedział był, że wszelkie nowoczesne wynalazki nie zmieniają istoty człowieka i że trudno sobie wyobrazić, co by to miało oznaczać, iż w dwudziestym wieku ktoś pragnie prześcignąć Platona. Bobkowski polemizuje z tym poglądem twierdząc, że już niedługo zapewne trzeba będzie umieć prześcignąć nie tylko Platona, ale i Chrystusa. Dodaje:

Być może, że w pewnym sensie dziś setki tysięcy ludzi już codziennie, w każdym z niezliczonych obozów w Europie i w Azji, wyprzedza Chrystusa, aby tylko żyć.

W tym jednym zdaniu odsłania się w całej rozpiętości duchowy zakrój książki Bobkowskiego, jej napięcie między filozoficznym poszukiwaniem Wielkiego Spokoju, a ciągłą świadomością, że równocześnie w niemieckich i radzieckich obozach koncentracyjnych cierpią i umierają tysiące współczesnych Chrystusów. To napięcie sprawiło, że kiedy po wojnie ulubiona Francja poczęła tracić poczucie równowagi, oddając się we władanie komunistom, Bobkowski zabrał tkwiący w nim spokój, zabrał ukochaną Basię i rękopis dziennika z lat wojny, i wyjechał na koniec świata.

Na zakończenie muszę przyznać się do pewnej winy wobec Bobkowskiego. Kiedy przed kilkunastu laty czytałem *Szkice piórkiem* po raz pierwszy, pewną nieufność budził we mnie fakt, że prawie wszystkie prognozy polityczne Bobkowskiego znakomicie się potem sprawdzają. Podejrzywałem, że autor przed drukiem (książka ukazała się dopiero w roku 1957, nakładem paryskiego Instytutu Literackiego) albo niektóre prognozy *post factum* dopisał, albo przynajmniej usunął te, które się nie sprawdziły. Ślad tych moich wątpliwości zachował się w książce Romana Zimanda, na cześć Bobkowskiego zatytułowanej *Wojna i Spokój* (Londyn 1984, s. 9–11). Sprawę mogłaby definitywnie rozstrzygnąć jedynie konfrontacja z rękopisem. Czytając wszakże *Szkice piórkiem* na nowo AD 1990, w zupełnie innej sytuacji politycznej, zwróciłem uwagę na następujące zdanie, zapisane 26 września 1943:

Rosjanie przeszli Dniepr w sześciu miejscach, walki toczą się już pod Kijowem. Ciepło, ciepło — coraz cieplej. Niedługo zaczną nas „uwalniać”. I uwolnią nas na pięćdziesiąt lat.

Wszystko wskazuje na to, że ta polityczna przepowiednia sprawdza się na naszych oczach z dużą dokładnością. Andrzej Bobkowski był nie tylko znakomitym obserwatorem każdorazowego t e r a z, ale

i strategiem umiejącym z dostępnych danych (francuskich, niemieckich, angielskich, polskich) zbudować logiczny i — co ważniejsze — sprawdzający się na ogół model przyszłości.

*Szkice piórkiem* pojawiają się obecnie na rynku księgarskim w dość dużym nakładzie. Ta książka wielkiego indywidualisty, „chuligana wolności” (termin Tymona Terleckiego), te prywatne zapiski polskiego cywila w okupowanym Paryżu mogą oto trafić do dziesiątków tysięcy nowych czytelników. Jestem spokojny o los tego spotkania. W gruncie rzeczy bowiem czytelnik masowy nie istnieje: za każdym razem pojedynczy odbiorca spotyka się z pojedynczym autorem. Ilość takich spotkań, choćby równoczesnych, nie wpływa na jakość odbioru. A dziennik Andrzeja Bobkowskiego jest na tyle wielostronny, że z pewnością trafi do bardzo różnych odbiorców. Cechą specyficzną formacji autora — przedwojennej liberalnej inteligencji polskiej — była skłonność do mieszania poziomów, stylów zachowań, tonacji. Jedni znajdą w *Szkicach piórkiem* manifest wolności bez granic, inni analizy totalitaryzmu. Jednych zachwycą niemal mistyczne uniesienia i stany panteistycznej ekstazy, innym spodoba się nieco rubaszny humor i cięty język. Jedni szukać tu będą pejzaży południowej Francji, inni — notatek z lektur i recenzji filmów oraz przedstawień teatralnych. Jedni odbiorą tę książkę jako wielki list miłosny, inni jako wielki traktat polityczny. *Szkice piórkiem* są tym wszystkim — i czymś więcej jeszcze: solidną porcją świetnej prozy.